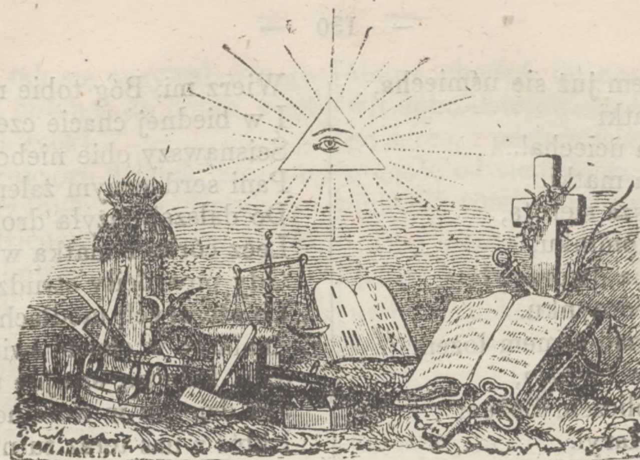
№ 17.

WARSZAWA

d. 16 (28) kwietnia

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Łagodność jest wytrwałością w stawianiu czoła namiętnościom gwałtownym i w trzymaniu duszy na baczności przeciw dumie i wszelkiemu uniesieniu. (Śty Grzegorz.)

Kokoszka Magdusi.

Post wielki schodzi, za pasem wiosna,
Niejeden z serca jej żąda,
Boć to dla wszystkich pora radosna:
Nie tylko człek jej wygląda,
Lecz nawet zwierzę i ptaszek wszelki
Czeka jak łaski zarania,
Którą już ludziom niesie dzień wielki,
Pańskiego dzień zmartwychwstania.
Więc choć się na czas brzydki zanosi,
Nadzieja wszystko przystraja,
A w każdej chatce skrzętnej gosposi
Leżą już szynki i jaja.
Bo w dniu świątecznym wszędzie dostatek,
I wszystkim ludziom wesoło;
Tylko w izdebce najniższej z chatek
Co się w las skryła za sioło,
Tam, gdzie błotnista prowadzi droga,
Jak zwykle głucho ponuro:
W niej to Janowa wdowa uboga
Mieszka z swą jedyną córą.
O! u nich cicho, chociaż gwar wszędzie,
Żadna z nich szczęścia nie czuje,
Matka w milczeniu swą kądziel przędzie,
Dziewczę coś także pracuje.
A ładne dziewczę, choć wątłe, blade,
I zacne w swojej niedoli,
Zda się z ócz matki wyczytać radę,
Co w głębi duszy ją boli.
Dziwne zajęcie znać w twarzy dziecka,
Figlarnie mróży oczami,
A czasem spojrzy w kątek przypiecka,
Gdzie coś trzepoce skrzydłami.
O! bo tam siedzi miła pieszczoszka
W swój ciepły ukryta kątek,
Na miękkiem gnieździe biała kokoszka,
Jedyny Magdzi majątek.
Bo chociaż w domu dokucza bieda,
Głód nawet gnębić zaczyna,
Kokoszce głodu przycierpić nie da,
Choć sama łaknie dziewczyna.
Lecz dziś zyskała wieniec zdobyczy,
Otóż ma korzyść nareszcie,
Już gdzieś tam w kątku mendel jaj liczy,
A wkrótce sprzeda je w mieście.

I zdziwnem szczęściem już się uśmiecha,
Bo za te swoje dostatki
Kupi, o Boże! cóż za uciecha!..
Kołacz na święta dla matki.
Kiedy tak marzy nasza sierota,
Zarzewie gaśnie w kominku,
W izdebce ciemno, na dworze słota,
Czas myśleć już o spoczynku.
A był tam w chacie nad samem łożem
Z sznurem paciorków na szyi,
Z opromienionem obliczem Bożem
Obraz Najświętszej Maryi.
I tam to codzień splotłszy swe dłonie,
Wprzód nim się do snu zabiorą,
Codzień ku ziemi chyląc swe skronie,
Modlą się obie z pokorą.
Gdy tak się modlą, wtem ich doleci
Głos jakiś drżący w pokorze,
Zpoza drzwi chaty raz, drugi, trzeci:
Otwórzcie! zmarznę na dworze.
Magda się z kolan zerwała żywo,
Z początku trwożnie wygląda,
I zapalone niosąc łuczywo,
Hej! woła, kto tu? co żąda?
Nie pytaj o to! otwórz mi dziecię,
Tak z za drzwi ktoś odpowiada,
I wchodzi pani w lat młodych kwiecie,
Ale znękana i blada.
I gdy Janowa na progu chaty
Ciekawie gości swych czeka,
Strzępując zmokłe pani swej szaty,
Sługa jej stanął zdaleka.
Podróżna rzecze: noc strasznie chłodna
W bagnach błądzimy od rana,
Powóz się popsuł, ja jestem głodna,
Posil nas matko kochana.
I wzrok błagalny wlepia w Janowę,
Tej twarz rumieńcem skraśniała,
I w zawstydzeniu spuściła głowę,
Bo nic w swej chacie nie miała.
Zgadła tę boleść Magdzia poczciwa,
Radę znalazłszy w serduszku,
I niosąc jaja, tak się odzywa:
Wstaw je tam matko w garnuszku;
Ci państwo jadąc z dalekiej strony,
Muszą mieć jadło wśród chłodu,
A nam choć zginie kołacz święcony,
Toć przecie nie zginiem z głodu.
Wszystkich wzruszyła Magdy uczynność,
Podróżna wzrokiem swym wodzi,
I rzecze: dziewczę, za twą gościnność,
Wierz mi, Bóg tobie nagrodzi.
I w biednej chacie czekając rana,
Ścisnąwszy obie niebogi,
Pani serdecznym żalem żegnana,
Do dalszej dążyła drogi.
Lecz córka z matką w Wielką niedzielę
Gdy powróciły strudzone,
Po szczerych modłach w wiejskim kościele,
Znalazły w chacie święcone:
Jaja, kołacze, strojne tak ładnie,
Jak dziewki w weselnej szacie,
I któż z nas teraz tu nieodgadnie,
Zkąd one wzięły się w chacie?
Niekoniec na tem, z postępem latek
Z podziwem całego sioła,
Za sprawą pani szczęście, dostatek
Zakwitły błogo dokoła.
Jeśli kto jeszcze spytać się skusi,
Zkąd taka wspaniałość pani,
Powiem, kokoszka dobrej Magdusi
Wszystko to zniosła jej w dani!

Historya Bartka sieroty.

—

We wsi Komorowie położonej na dawnym trakcie z Łomży do Warszawy, będącej własnością pana Barskiego, który obyczaje i zwyczaje pradziadów, jako spuściznę świętą przechowuje, był sierota z rodziców włościan ubogich ale cnotliwych, którzy oboje w czasie grasującej cholery zmarli.

Rodzice Bartłomieja, którego nazwano później Bartkiem, byli gospodarzami dość zamożnymi, lecz ogień prawie cały dobytek ich zniszczył, pozostał się więc Bartek sam jeden i żadnej znikąd pomocy spodziewać się nie mógł.

Bartek pozostając wyłącznie na opiece dzieci, które się z nim zawsze bawiły, zaspokajał głód tem jedynie, co mu one przyniosły: to kawałkiem chleba, to kilku kartoflami; dopiero za przybyciem dziedzica położenie biedaka zmieniło się. Dziedzic bowiem zwoławszy gromadę, wyrzucił jej taką nieludzkość w postępowaniu z sierotą i najzamożniejszemu gospodarzowi oddając go powiedział: Pamiętać o nim będę, weź go, okrywaj i wychowuj na człowieka pracowitego, jakim był jego ojciec.

Matus Goraja, bo tak się nazywał ów gospodarz, zaprowadził chłopca do domu, a oddając go żonie swojej, rzekł:

— Bóg dał nam sześcioro dziatek, które się chowają zdrowo, przybyło nam Matulu jeszcze jedno przez dziedzica mi dane, byśmy je razem z swojemi chowali.

Bartek był chłopak dość ładny, ruchliwy, i z dobrem sercem, przywiązał się też zaraz do swych opiekunów. Było tak blizko pół roku. Bartek był wesoły, szczęśliwy jak dziecko, lepiej mu nawet było jak przy rodzicach, bo tu miał z kim się pobawić. Matusowie patrząc się na jego wesołość, często ze łzą w oku wspominali jakby wyrzucając sobie, że pierwszej myśli zaraz nie doprowadzili do skutku, by go wziąć do swojej chałupy.

Ale niedługo zachorował Bartek na ospę, krzątała się Matusowa koło niego prawdziwie jak matka koło swego jedynaka; już go nawet oboje opłakiwali jako nieżywego, bo była taka chwila, że leżąc, nie dawał żadnego znaku życia. Lecz przy pomocy księdza proboszcza przyszedł do zdrowia. Matusowie (jak to mówią, że bieda jedna nigdy nie dokuczy), znów zostali ręką Boską dotknięci, bo dzieci im wszystkie położyły się na ospę i najmłodszego Jaśka w równym wieku z Bartkiem będącego, Bóg im zabrał do swojej chwały; reszta szczęśliwie wyszła z tej choroby.

Matusowie pochowawszy swego jedynaka Jaśka jak go nazywali, nie mogli utulić się w żalu po nim, a szczególniej matka; gdy przeszedł miesiąc jeden i drugi, a żal Matusowej nie uśmierzał się, owszem powiększał patrzącej na Bartka, jako rówiennika w latach Jaśka, wtedy Matus poszedł do księdza proboszcza, do którego wszyscy z parafii mieli tyle zaufania, że w każdej dolegliwości lub sprawie z sąsiadem udawali się, a ten radą, a nawet i datkiem wspomógł, jak widział tego potrzebę. Ksiądz proboszcz wysłuchawszy Matusa żalów, pokiwał głową i rzekł: Źle jest z twoją kobietą, a wziąwszy kij w rękę i czapkę, powiedział: Chodźmy i pocieszmy strapioną. Przybywszy do chaty Matusów, zacny kapłan wlał w ich serca rzeczywistą pociechę, jaką przynosi człowiekowi religia.

O! lżej się znacznie zrobiło Matusom po bytności księdza w ich chacie. Matusowa zaczęła się krzątać koło dziatek i gospodarstwa, Matus chodził do pracy weselszy, błogosławił dobrodziejowi za wlanie takiej wiary w jego serce, i postanowił dzień ten, w którym jegomość odwiedził jego ubogą chatę, o kawałku chleba i trosze wody przepędzać.

Tak przeszło lat kilka. Bartek szczęśliwie chował się w chacie Matusów, dzieci tylko niekiedy pokłóciwszy się pomiędzy sobą, nazywały go sierotą i za stracha w zbożu przeznaczały, gdyż bardzo brzydkim. Bartek w chwilach tych był bardzo smutny i od nich uciekał do kąta, sam nie wiedząc dlaczego. Jednakże te oddalania się od zabaw, stawały się częstsze z przybywaniem lat, a nieraz wychodząc w pole z bydłem, na obiad nie wracał, dopiero wtedy gdy obejrzawszy się, bydła nie widział, bo ono będąc przyzwyczajone o porze tej do domowst wracać, samo przychodziło. Matusowie mocno się tem frasowali i wypytywali Bartka, czegoby on tak myślał, wtedy odpowiadał, że jakieś ściskania ma w piersiach i mimo wiedzy zostaje na polu. Radzili jak mogli pomiędzy sobą i to w ostatku uradzili, by Matus udał się do księdza proboszcza.

Matus nazajutrz z dziećmi udał się do proboszcza, a opowiedziawszy mu o Bartku, czekał wyroku z ust jego; ten po niejakiem czasie, rzekł:

— Pomyślę ja o tem, jutro jest niedziela, po mszy świętej przyprowadźcie go Matusie do mnie, to z nim pomówię i przyczyny dojdę.

Matusowie wstawszy rano, zaczęli też uprzątać się z tem, co im pozostało koniecznem do uporządkowania; poczem oboje wraz z dzieciakami udali się do kościoła.

Po skończonem nabożeństwie, Matus wziął za rękę Bartka i poprowadził do księdza proboszcza. Proboszcz niedługo dał na siebie czekać, a gdy zobaczył Bartka, którego lubił już dlatego, że był chłopakiem usłuchanym i pracowitym, tak że cała wieś za przykład dawała swoim dzieciom, jako na przyszłość dużo obiecującego, już dlatego, że był sierotą, przyszedł sam do niego, aby go ośmielić i spytał się łagodnie, dlaczego on taki smutny? Bartek odpowiedział to samo, co Matusom zwykł był odpowiadać, a gdy go ksiądz zaczął napominać łagodnie, że opiekunom tyle zmartwienia tem robi, bo się boją o jego zdrowie, wtedy rozpłakawszy się, odrzekł:

— Jam sierota, nie mam ojca ani matki; chociaż są opiekunowie dla mnie bardzo dobrzy, ale mi coś na sercu leży, z czego sobie dać sprawy nie mogę. Często myślę, co się zemną zrobi, a widząc jak rodzice opiekują się dziećmi i całując je, powiadają: będziesz podporą na starość, toż to wtedy mię coś ściska za serce i nic mi nie jest miłem na tym świecie.

Płacząc, tak mówił mały Bartek, a księdzu proboszczowi z Matusem łza się zakręciła na tak proste odmalowanie sieroctwa.

— Prawda, odrzekł ksiądz proboszcz, nie masz ojca ani matki i to cię najwięcej zasmuca. Ale rodzice twoi patrzą na ciebie zpoza grobu; oni cię kochają, to trzeba żebyś ich kochał i robił tak, by się o ciebie nie martwili. Nie oddawaj się smutkowi, pracuj jak umiesz i możesz, tą pracą ulgę przynoś swoim opiekunom, a Bóg raz że sierotą jesteś, a drugi, że dobrym chłopcem, nie zapomni o tobie i na starość da ci kawałek chleba. Matusie idźcie do domu, Bartek już będzie spokojny i wesoły i kiedyś odwdzięczy się wam obojgu za starania i trudy dla niego podjęte.

Bartek całował ręce i nogi Matusa przez ten czas, a gdy ksiądz proboszcz skończył, powiedział:

— Będę pamiętał księdza jegomości słowa wszystkie, a jakbym zapomniał, to przyjdę już sam, by mi je jegomość przypomniał.

— Dobrze mój kochany, rzekł proboszcz, przychodź choćby codzień, tylko nie smutny, bo się będę gniewał.

Gdy Matus przyszedł do domu, opowiedział swojej kobiecie całą rozmowę z proboszczem i wrażenie jakie zrobiły słowa na Bartku. Matusowa rzekła:

— Bóg świadkiem, że kocham go jak dziecko swoje i chce dla niego tak, jak swoim zrobić dobrze. Jestem tego pewna, że się przemieni, bo słowa takiego świętego człowieka jak dobrodzieja, nigdy bez skutku nie zostaną.

Rzeczywiście Bartek uspokoił się, był weselszy i często całował opiekunów ręce, przepraszając, że stał się im przyczyną zmartwienia i mówił, że dzisiaj lepiej mu jest, a później zupełnie będzie dobrze, bo czuje sam, że Bóg wejrzał na niego.

Upłynęło tak lat kilka. Bartek wyrosł na młodzieńca, a chodząc na pańskie i wyręczając opiekunów przy pracy w ziemi, dużo im wraz z ich dziećmi pomagał.

Bartek chodząc na pańskie, poznał Agnieszkę córkę dobrze mającego się osadnika, do której się tak przywiązał, że nieraz nie mogąc spać w nocy miał na oczach Jagusię (takie miała imię) i uczuł, że bez niej żyć nie może. Martwił się, bo wiedział, że sierota, że ubogi, a Jagusia jedynaczka i będzie miała posagu dużo, jak na stan włościański. Odganiał myśli jak mógł od siebie, ale cóż poradzisz z sercem, które przywiąże się do drugiej istoty, jeszcze szczęśliwe, jeżeli ta odpowie mu wzajem, w przeciwnym razie stan młodego do pożałowania!

Lecz Bartek był szczęśliwy w tym względzie; choć brzydki, ale pracowity i z dobrem sercem miał szczęście jak to powiadają: każda ze wsi radaby była, iżby Bartek ku niej się zwrócił. Toż i Jagusia jakoś na Bartka okiem krzywem nie patrzyła, bo jakże miała odwracać się od niego, kiedy go tak wszyscy chwalili, a jeszcze bardziej, że przy każdej robocie gdzie byli razem, on jej pomagał i zawsze przy niej będąc, nie dał jej tyle pracować.

Wdzięczną mu była za to i bardzo przywiązała się do niego, ale najgorsza, że i ona myślała o tem, iż Bartek jest sierotą, nie ma żadnej zapomogi, to ojciec może się sprzeciwić ich połączeniu. Rachowała jednak na przywiązanie ojca, który ją nad życie kochał i prawie była pewną, że zezwoli, a nawet myśląc o tem nieraz, zbierała się na odwagę, jeżeli przyjdzie do stanowczego kroku to i burę usłyszeć od ojca, bo czuła dobrze, że bez Bartka to byłoby jej źle na świecie.

Jagusia była córką, jakeśmy powiedzieli osadnika, nazwiskiem Kacpra Kossy, graniczącego gruntami swemi z dworem. Kossa dosyć często wysyłał na zarobek Jagusię, by się w domu nie rozprożniaczyła, gdyż przyszedł do tego przekonania, że kobieta leniuch, to ani do tańca, ani do rożańca; chciał ją przyzwyczaić do roboty ciągłej i dlatego na pańskie wysyłał, bo w domu mawiał, może się opuszczać. Żal mu nieraz było, że jego kochane dziecko tak pracuje, choć tego nie było potrzeby, bo miał dosyć z gruntu na swoję i jej potrzebę, ale wysyłał ją, by się do pracy przyzwyczaiła i była dobrą żoną, a pieniądze zarobione chował na jej posag, mówiąc do niej,

że to będzię na zapomogę, jak się doczeka męża, o którym myśli. Żartów nie robił i wiedziała Jagusia, że ojciec jak powie co, to święte; bała się też, by przed czasem nie znalazł dla niej męża i prosiła całując go w rękę, by jeszcze poczekał, dając za przyczynę pielęgnowanie jego i zarządzanie gospodarstwem domowem, które prowadziła jako dobra córka i gospodyni; a w chacie każdy co przyszedł, widział tak czysto, schludnie, że dziwić się należało, iż u chłopka takie zamiłowanie w porządku.

Stary Kossa prawda, uczył ją od maleńkości, gdyż sam lubił porządek, a nauczył się go w wojsku jeszcze za Kościuszki, ktory mu nawet jak ludzie mówili, dał nazwisko Kossy, jak również i przy swojej Magdzie ś. p. żonie. Mawiał też do Jagusi, kiedy był w dobrym humorze:

— Moja ty mała, bądź taką jak matka, a dostaniesz męża takiego jak ja; bo to mospanie ja za młodu nie byłem ani legawcem ani ułomkiem i żeby ci żyli, co mnie znali przy Kościuszce, toćby im łza wytrysła z oczów, witając mnie, boby pamiętali, że ja ich kochałem sercem całem i nieraz dawałem dowody tego, a wiedzieli mospanie, że u mnie słowo to nie wiatr.

Bartek po kilka razy zaczynał mówić Jagusi o swem przywiązaniu do niej, lecz wtedy jakiś wstyd dziewiczy ją ogarniał i nie pozwalała mu dokończyć słowa, które miał na ustach. Było tak z pół roku, aż wypadek zrządził, że będąc siebie bliżej, mogli się rozmówić i zapewnić wzajemnie o swojem przywiązaniu, bo do tego czasu Jagusia milczeniem zbywając zapytania Bartka, może chciała mu dać poznać, żeby się z ojcem zapoznał lepiej i jemu wyjawił myśl swoję. Lecz Bartek jak każdy młody, nie chciał rozumieć tego, tylko chciał wiedzieć, czy ma wzajemność; martwił się tem bardzo i na zdrowiu widocznie upadał. Ludzie mówili o Bartku, że to jest przyczyną, iż Jagusia nie chce patrzyć na niego, a dziewczęta cieszyły się tem i nawet Jagusię bardzo lubiły w nadziei, że im nie zabierze pracowitego chłopaka.

Matusowie widząc Bartka upadającego na zdrowiu, mocno się tem martwili, tem więcej słysząc przyczynę tego, bo spodziewali się, że Kossa przeszkodzi zamężciu; jednak czekali, mówiąc do siebie: Bóg może przemieni.

Tak martwiąc się Bartek i Jagusia każde z osobna, doczekali się nareszcie tej chwili, w której razem będąc na zabawie, mogli dłużej porozmawiać z sobą i przekonać się o sercach swoich. Było to w zapusty 1838 r. na weselu krewniaczki Matusów, gdzie i Kossa był zaproszony z swoją córką. Tam dopiero nasi młodzi porozumieli się z sobą i Jagusia zrobiła mu nadzieję, że ojciec pozwoli na to połączenie, ponieważ zna Bartka jako pracowitego i poczciwego człowieka; powiedziała mu także, że teraz jej nie będzie raźno doma jak na pańskie nie pójdzie, a on rzekł:

— W którym dniu moja Jagusiu nie będziesz we wsi naszej, to spodziewaj się, że wieczorem pod chałupy okno przyjdę, by cię zobaczyć, bobym także doma nie usiedział.

Odbywała się ta wizyta przeszło trzy miesiące, a widując się choć chwil kilka z sobą, byli weselsi i zdrowsi; lecz Bóg chciał, by znów wypadek przyczynił się do ich nieszczęścia, a może i szczęścia.

Stary Kossa zauważał, że gdy psy zaszczekały, po chwili wychodziła Jagusia, ażeby to ich niby uspokoić i dość długo nie wracała, a wróciwszy, była wesołą i przymilała mu się. Rad był jej wesołości, ale widział, że mu coś córka nie domaga; martwił się tem, lecz widząc jej uśmiech potem na twarzy, zapomniał o jej smutku dawnym i najwięcej rad był tej chwili, kiedy przychodziła mówić mu dobranoc, co robiła zwykle po uspokojeniu piesków.

—

Co się dalej stało z Bartkiem sierotą, opowiemy następnie.

Ustawa dla kassy pożyczkowej włościańskiej w dobrach Poturzynie, w Lubelskiem.

—

1. Kassa gromadzka ustanawia się jako fundusz żelazny, celem przyjścia w pomoc włościanom dóbr Poturzyna, którzy zapomogi w gospodarstwie potrzebować będą.

2. Ponieważ wszyscy włościanie dóbr Poturzyna jednakowe mają prawo do korzystania

z funduszów kassy gromadzkiej; przeto każdy z nich w wypadku potrzeby zażądać może pożyczki z tejże kassy, do wysokości złotych polskich stu, za zaręczeniem słównem dwóch gospodarzy, znanych z przykładnego prowadzenia się i dobrego gospodarstwa.

3. Włościanin żądający wyższej pożyczki nad złotych sto, lub dłużny już kassie, a potrzebujący ponowić pożyczkę, obowiązany będzie przedstawić dwóch gospodarzy, którzyby za niego zaręczenie piśmiennie dali, przyjmując odpowiedzialność na siebie w razie niewypłacalnoście obdłużonego.

4. W żadnym razie jeden włościanin więcej jak 200 złp. dłużnym kassie gromadzkiej być nie może.

5. Każdy dłużnik z pożyczki zaciągniętej, rocznie opłacać będzie po 10 złotych z kapitału i procent w stosunku 5 od 100, czyli 15 groszy od 10 złotych.

6. Wolno jest i większą ilość od 10 złotych, choćby nawet cały kapitał pożyczony zwrocić na raz jeden, z opłatą należącego się procentu.

7. Obrachunek funduszów kassy gromadzkiej, następować będzie w dniu 1 stycznia każdego roku i procenta wszystkie do tegoż dnia obliczać się mają.

8. Fundusze kassy gromadzkiej, zwiększać się będą:

a) Procentami przez dłużników oddanemi.

b) Pozostałościami ze składek podatkowych.

c) Zyskiem z przedaży certyfikatów i dowodów likwidacyjnych na dostawy i liwerunki z czasów wojennych, gdyby jakie jeszcze okazały się być własnością gminy i przez Rząd wydane zostały.

d) Zyskiem ze sprzedaży pozostałego nad potrzebę zboża ze spichrzów gromadzkich. (*)

e) Ofiarami dobrowolnemi.

9. Gdy kapitał kassy gromadzkiej wzrośnie do wysokości 10,000 złotych, część procentu w kwocie 200 złotych przeznaczoną zostanie na domy ochrony lub szpital wiejski. Reszta zaś procentu corocznie zwiększać będzie fundusze kassy gromadzkiej.

10. Gdyby kapitał kassy, nie mógł być w całości między włościan rozpożyczony, część jego nieulokowana, od potrzeb zbywająca umieszczoną zostanie na procent w Banku Polskim, lub w Kassie Oszczędności.

11. Przy wzroście dalszym funduszów gromadzkich, włościanie tylko sami, jako właściciele tychże funduszów, będą mogli następne przeznaczenie ich oznaczyć, mając zawsze na względzie cel użyteczności ogólnej dla gminy.

12. Właściciel dóbr oceniając ważność ustanowienia kassy gromadzkiej i pragnąc ze swej strony przyłożyć się do pomyślnego jej utrzymania, obowiązuje się całą rachunkowość tejże kassy prowadzić, przetrząsać i dopilnować regularnego uiszczania procentów, nad całością jej funduszów czuwać, dopóki włościanie dóbr Poturzyna żądać tego i potrzebować będą.

13. Na przypadek niemożności właściciela trudnienia się zarządzaniem kassy, oficyalista przez niego wybrany, zastąpi go w tej czynności.

14. Kontrolla funduszów gromadzkich należéć ma do wójta gminy, u którego też kassa złożoną będzie; klucze zaś kassy, zachowane zostaną u dwóch gospodarzy przez gromady wybranych.

15. W nagrodę porządnego utrzymania rachunkowości, oficyalista zastępujący właściciela, przez czas trudnienia się zarządem kassy, pobierać ma rocznie 5 od 100, od procentów opłacanych przez dłużników. Kontrolla zaś i dozór funduszów, jako odznaczenie honorowe, będą bezpłatną posługą.

Taka jest ustawa kassy pożyczkowej w dobrach Poturzynie, krótko i praktycznie ułożona. Doświadczywszy dobroczynnych i najpomyślniejszych skutków z ustanowienia tej kassy, założyciel jej, doradza współobywatelom upowszechnienie tak zbawiennego środka.

Poświęcenie na ten cel bądź kapitału w załogach, bądź części długów dworowi od włościan należnych, ofiara nawet gotowego gro-

(*) W ustawie urządzającej magazyny zbożowe włościańskie w dobrach Poturzynie, o których 30 letniem istnieniu i użyteczności, (w r. 1847) dziedzic zamierzał przesłać Redakcyi Roczników stosowną wiadomość, przewidziana jest możność obracania przewyżki zbożowych procentów od oznaczonych potrzeb zbywających, na powiększenie funduszów kassy gromadzkiej.

sza (jak twierdzi), sowicie w kilku latach wynagrodzone zostaną; bo corocznie wznawiające się, a rzadko zwrotem niepokryte zapomogi, już więcej nie będą potrzebne. Ludność dawniej oglądająca się tylko na datek dworu, nierzetelna w zobowiązaniach, wychodząca z zasady: prosić to dadzą, nie oddać, to przepadnie, poprzestaje dziś na pomocy, jaką w razie potrzeby znajduje w kasie gromadzkiej, której winną należność w terminie i bez przymusu składa. Już teraz sami włościanie dóbr Poturzyna nie powątpiewają o dobrodziejstwie zakładu, którego błogich następstw dawniej nie przewidywali. Od lat kilkunastu porządnego zarządzania funduszami gromadzkiemi, wielu gospodarzy spłaciło zaciągnięte pożyczki. O ile w początkach mało był przystępny pojęciu rolników rachunek należnego procentu, kapitału pozostałego i części już umorzonej, o tyle teraz nie zdarza się tam znaleść włościanina nieświadomego pod tym względem. Nie czekając zapytania, każdy powiada, wiele już zapłacił, wiele jeszcze winien kapitału i jaki od tego procent należy. Wszystkie te następstwa porządku, gospodarności, rzetelnego zobowiązań wypełniania, ożywione w włościanach duchem zakładu pożyczkowego, słodkim będą owocem, moralną dla właścicieli dóbr nagrodą. Przy roztropnym kierunku, chęci szczerej i wytrwaniu, trudności w zaprowadzeniu i utrzymaniu jego nie doznają.

Znaczniejsze z czasem pomnożenie funduszów tej kassy, może być w części użyte na *szkółkę* wiejską, przytułek dla *ubogich* gminy, wiekiem i nieszczęściami skołatanych, żeby po świecie z torbami nie chodzili; nikt zaś nie przewidzi, kogo taki los nieszczęśliwy spotkać może.

Oprócz tych, jeszcze jeden ważny pożytek kassy gromadzkie rozpowszechnione przynosić mogą za ustaleniem się i przywiązaniem do nich wiary publicznej. Oto lud wiejski uzbieraną oszczędność i grosz zapasowy nie mając gdzie bezpiecznie trzymać, zwykł chować w węzełkach tajemnie przed domownikami ukrywanych, które nieraz giną, albo też wielu zakopują w ziemię, gdzie pod węgłem, kamieniem lub drzewem, trzymając w takiem zachowaniu pieniądze bez procentu, jaki przynosićby mogły umieszczone w bezpiecznem ręku i oddane pod straż pewną. Nieraz zaś w skrytem miejscu zachowanych umierający żonie i dzieciom swoim nie pokaże, gdzie zbiory skąpca tym sposobem marnie przepadają ze szkodą rodziny. Takie to oszczędności i zbiory należy starać się do kass gromadzkich wprowadzać, co dokonane stałoby się wielką korzyścią dla dobra ogólnego.

W miastach i miasteczkach łatwiej jest zaprowadzić kassy pożyczkowe, które mieszkańcom świadczyłyby niemałą pomoc w potrzebach handlowych i przemysłowych. Wiele z miast mają znaczne fundusze złożone w banku Polskim na procent mały, tylko trzy od sta. Te kapitały w miejscu użyte na pożyczki pod ścisłą kontrollą i odpowiedzialnością dozorujących zakładu pożyczkowego, skutecznie przyczyniłyby się do polepszenia bytu mieszkańcow, wybawiłyby ich od niszczącej lichwy, przyłożyłyby się do podniesienia miast, do rozwijania w nich przemysłu i handlu, oraz do większego pomnażania samejże kassy.

Jeżeli we wsiach kassy pożyczkowe z powodzeniem utrzymać się mogą, tem pewniej w miastach i miasteczkach, z równym, a nawet większym skutkiem zbawienny wpływ obrotami gotowizny wywierać potrafią. Interesem i potrzebą jest kraju, pobudzać drobne kapitały nieczynne do ruchu i życia, gromadzić rozproszone, i temi dawać zatrudnienie ludności niezamożnej, wsparcia potrzebującej.

Przestrach.

Krzyżewski w młodym wieku był tęgim żołnierzem, ale kiedy wiek się przeważył na szósty krzyżyk, był ekonomem w folwarku Pawłowieckim (na Wołyniu); za przychylność i pracę miał dożywotne utrzymanie od p. Wiktora Czaczkiego.

Gracyalista zawsze był czynny, czerstwy, jeszcze zwinnie z żołnierską zręcznością wsiadał na swoją rosłą gniadą klacz, szybko objeżdżał obszerne Poryckie łany; nic nie mogło się przed jego przenikliwem okiem utaić. Jednak pobłażał poczciwym włościanom, byle nie z wielkiem uszczerbkiem dziedzica— o! dla niego był gotów on życie poświęcić. Dlatego też był uważany od swego dobrego pana, lubiany

od współ kolegów i sąsiadów, kochany od żony i dzieci.

Razu jednego powracał od swego kuma, w głowie być może szumiała jaka szklaneczka; ale Krzyżewski nigdy nie tracił swego rozumu. Poklepawszy gniadę, wskoczył żwawo, siedział mocno, puszczając z fajki gęste kłęby dymu, czasami podkręcał siwe wąsy, na których mróz osiadał.

Wiatr przykry mało obchodził szlachcica: baranem podszyty surdut zapięty na wszystkie guziki zabezpieczał go od chłodu. Wesołej myśli powracał do domu. Na rozstajnych drogach leżała kupa łomu nad mogiłą samobójcy.

Zestarzałem się i nie wiem, na co lud prosty rzuca łomacze na mogile samobójcy, pomyślał. Ja mu tej przysługi nie uczynię, pomruknął.

Wiatr zaszumiał w dębinie, suche liście szeleszcząc, rozlatywały się po śniegu, gniada strzygła uszkami.

Stary zaciął gniadę, gdy w tej chwili szarpnięto go silnie za połę od surduta. Obejrzał się na wszystkie strony, nigdzie nic nie było widać, tylko księżyc świecił jasno. Mrowie przebiegło Krzyżewskiego, wstrzymał gniadę i zaczął badać, coby to być mogło? Pół wieku służył pod chorągwią Napoleona i nigdy mu się nic podobnego nie przytrafiło. Potarł czoło, dla lepszego kurażu skrzesał ognia, zapalił fajkę, która mu zgasła. Chciał dalej jechać, cmoknął na gniadę, ale znów pociągnięto go silnie za połę, tak, że omal nie spadł. Obejrzał się wokoło, a nie widząc nikogo, zadrżał. Już to nie przywidzenie, to jakaś tajemnica nie docieczona, coś nadziemskiego, pomyślał. Wszelki duch Pana Boga chwali, rzekł przerywanym głosem; włosy podnosiły mu prawie czapkę na głowie.

Nikt mu nie odpowiedział, tylko wiatr zaszumiał głośniej unosząc suche liście. Krzyżewski puścił gniadoszkę, ale jeszcze kilka razy był pociągnięty za połę.

Przy wjeździe do Porycka, z prawej strony katolicki, z lewej innego wyznania widać cmentarz; oba te przybytki śmierci ogrodzone wysokiemi parkanami: po środku szła droga, gdzie Krzyżewski miał jechać. Na środku drogi stała jakaś biała postać; z obu stron wysokie parkany, cień, nie można więc było rozpoznać stojącego widziadła. Gniada chrapnęła, skoczyła w bok, opierała się iść dalej, strzygła uszami.

— Kto to, kto to? zawołał głośno.

Postać stała w milczeniu nieruchoma. Stary żołnierz czuł się upokorzony; choć włosy powstały mu na głowie, tłumił w sobie dotąd mu nieznane wrażenie i jeszcze raz zawołał:

— Kto to? odezwij się? bo ci w łeb wypalę!

Krzyżewski nie miał broni, dlatego nie strzelał, a widziadło stało nieruchome. W każdym innym razie przekonałby się, kto mu drogę zastąpił; ale dzisiejsze usposobienie odebrało mu chęć dalszego dociekania. Zmusił gniadą do pójścia naprzód, która chrapiąc, puściła się galopem, mijając białą postać. Wtem pociągnięto jeźdźca znowu za połę tak silnie, że mało z siodła nie wyleciał. Przeżegnał się i pędem strzały dążył do domu; wkrótce stanął u celu, odetchnął całemi piersiami, obcierając pot z czoła.

Nie zgadniecie zapewne, co zobaczył Krzyżewski. Oto długi ogon gniadej, zaczepił się za guzik od surduta, i tyle razy go pociągał, ile razy on gniadę uderzał nahajką. Po chwili zdumienia zawołał z uśmiechem:

— Ha! cóżbym pomyślał, gdyby ten ogon sam się odczepił. A co?.. powiedziałbym, że mnie jakieś licho straszyło, potwierdziłbym przysięgą; byliby tacy, coby uwierzyli.

Tak mówiąc, siadł powtórnie na gniadę, zwrócił ją do miejsca, gdzie się ta postać zjawiała, i przekonał się, że na drodze stał snop słomy, przypruszony śniegiem, który mu w rozdrażnionej wyobraźni zdał się być widmem, o jakich bajki ludowe podają.

Wszystkie to strachy, o jakich wam w młodości wasze niańki prawiły, są takie same, jak strach starego Krzyżewskiego, który go sobie sam w swem przywidzeniu utworzył!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 —kwartalnie kop 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 16 (28) kwietnia 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański.*